

Bankowa operetka

22 marca 2013

W ostatnich latach banki dostały od państw olbrzymie sumy, żeby rozruszać pogrążone w kryzysie gospodarki. Europejscy liderzy zauważyli jednak, że instrumenty nie zadziały. Jedynie brytyjscy ministrowie, głusi na argumenty, wciąż tańczą w rytm wygrywany przez finansistów z City. Ale wściekłości opinii publicznej nie można tłumić bez końca.

Gospodarczy Titanic po zderzeniu z kryzysową górą lodową tonie powoli. Bankowa orkiestra, suto opłacana przez pasażerów, gra stare przeboje w najlepsze, mimo że prawie nikt nie słucha, a większość publiczności chce ekonomicznym muzykom poderżnąć gardła. Tańczą jedynie, zahipnotyzowani melodią, zauroczeni dźwiękami Brytyjczycy, broniąc orkiestry przed samosądem tłumu i nie pojmując, że gdy europejski statek pójdzie na dno, bankowy band przesiądzie się na inny, ekskluzywny wycieczkowiec. I nie zapomni z europejskiego Titanica wycisnąć tylu dóbr, ile się da, za co przyzna sobie sowite napiwki.

SAMOTNOŚĆ W CITY

Kancierz George Osborne podczas obrad w Brukseli, gdzie ministrowie finansów pozostałych dwudziestu sześciu krajów członkowskich Unii Europejskiej chórem uznali, że należy ograniczyć finansową ekstrawagancję bankierów, zdecydował się na partię solową. Stara, zdarta, dobrze znana płyta o „szczególnej roli sektora usług finansowych w Wielkiej Brytanii niezbędnej dla europejskiej ekonomii i dobrobytu następnych pokoleń” jeszcze nigdy nie brzmiała tak fałszywie. Argumenty były jak zawsze dęte, zaś melodia skierowana w stronę cymbałów.

Napięte do granic możliwości społeczne, polityczne i ekonomiczne struny tym razem jednak pękły. Na początku kwietnia ubiegłego roku Europejski Urząd Nadzoru Bankowego

opublikował raport, z którego wynika, że premie wypłacane w Unii Europejskiej bankowcom wysokiego szczebla stanowią średnio 122 proc. ich stałych pensji, a w przypadku pozostałych pracowników – 139 proc. Są jednak kraje, w których średnie proporcje wynoszą odpowiednio 220 i 313 proc. Najwyższe odnotowane nagrody to aż 429 proc. pensji dla menedżerów i 940 proc. dla pracowników. A w czasach gdy europejskie rządy pompują olbrzymie sumy w bankowe skarbce, taka rozrzutność jest nie tylko wątpliwa moralnie, niebezpieczna dla społecznego spokoju, ale także zagraża stabilności europejskich banków. Zgoda ministrów finansów dwudziestu sześciu krajów UE na obniżenie maksymalnych nagród to tylko część szerszego programu, który ma na celu zwiększenie bezpieczeństwa banków, aby zagrożenie powtórki kryzysu z 2008 r. zostało zminimalizowane, jak to tylko możliwe.

Nowe regulacje dla sektora bankowego przewidziane w dyrektywie CRD IV mają przede wszystkim zapewnić, że europejskie banki będą dysponować wystarczającym kapitałem, aby przetrwać przyszłe wstrząsy finansowe i gospodarcze. Rządy europejskich krajów, choć na scenie w Brukseli występują wspólnie, godząc się na większe lub mniejsze kompromisy, na swoim podwórku grają nieco ostrzej. Jedynie George Osborne w społecznym deszczu niezadowolenia tańczy, stepuje i śpiewa hymn pochwalny w kierunku City.

MONEY, MONEY, MONEY

W Holandii mówi się o ustawowym obcięciu premii o 20 proc. Szwajcarzy zaś w ogólnokrajowym referendum poparli ograniczenie horrendalnie wysokich wynagrodzeń dla kadry kierowniczej szwajcarskich firm. Za zmianą opowiedziało się 68 proc. głosujących. Prawa akcjonariuszy w kwestii uposażeń kierownictwa firm zostaną wzmocnione, a nieprzestrzeganie nowych zasad będzie surowo karane. Najbardziej na społeczną wyobraźnię podziałało 76 mln dolarów, które na odchodne dostał zwolniony prezes koncernu farmaceutycznego Novartis. W

Niemczech do działania zmusił Angelę Merkel skandal z Deutsche Bankiem, który manipulował stopą LIBOR i przynosił straty, co nie powstrzymało zarządu od przyznania „najwyższej w historii bankowości premii” Christianowi Bittarowi. O ostrych ograniczeniach premii finansistów mówi się we Francji, Hiszpanii i w krajach skandynawskich. Jedynie Wielka Brytania na te nuty pozostaje głucha.

W lutym menedżerowie Royal Bank of Scotland zignorowali państwowego udziałowca i zaraz po tym, jak ogłosili 5 mld funtów straty, wypłacili sobie premie w wysokości 600 mln. Przynoszący straty Lloyds TSB przyznał menedżerom wyższego szczebla dodatkowe 365 mln funtów. Zaś zamieszany w pranie brudnych pieniędzy HSBC ogłosił, że każdy z menedżerów pracujących w Londynie otrzyma w nagrodę minimum milion funtów. Medialnie nośna i przyjęta z zadowoleniem przez społeczeństwo zeszłoroczna brytyjska „wiosna akcjonariuszy” w City – podczas której udziałowcy Barcleysa i AVIVY utarli nosa prezesom, ograniczając ich premie, a prezesa największego ubezpieczyciela na brytyjskim rynku zmusili do rezygnacji – skończyła się zimą prezesów, którzy akcjonariuszom urządzili jesień średniowiecza, a swoim portfelom gorące lato. Podczas gdy średnie płace w gospodarce stały w miejscu, pensje menedżerów wysokiego szczebla wzrosły o 12 proc. Nie dziwi więc, że społeczna cierpliwość jest na wyczerpaniu. Zasilone pieniędzmi podatników banki miały ratować gospodarkę przed krachem. Uratowały jedynie siebie.

SŁOŃ ZAGRAŁ NA FUJARCE

Kiedy kilka lat temu rządzący wówczas Wielką Brytanią Gordon Brown sięgnął do państwowej skarbonki, żeby za wszelką cenę ratować bankrutujące banki, wydawało się to działaniem słusznym i racjonalnym. Po pierwsze chory, finansowy słoń był zbyt duży, by pozwolić mu upaść, po drugie współczesna gospodarka potrzebuje kredytów, żeby się nie zatrzymać. System bankowy dla ekonomii jest krwiobiegiem. Bez przepływu gotówki i kredytów biznes przestałby się kręcić.

Słoniowate banki dostały od społeczeństwa za pośrednictwem rządu najpierw Browna, a potem Camerona 500 mld funtów, aby „pobudzić gospodarkę”, i zagrały władzy na nerwach. Bo zamiast zacząć pożyczać biznesowi, bankowcy wyczyścili z toksyn swoje bilanse i nadmuchali spekulacyjną bańkę na giełdzie. Dzięki temu na Wyspach są dwie rzeczywistości równoległe. Dwa światy i dwie ekonomie. Ta matrixowa radzi sobie wyśmienicie. Indeks giełdowy po perturbacjach 2008 r. wrócił do równowagi. Inflacja jest niska. Pensje prezesów i menedżerów rosną. Bankowy, bajkowy słoń znów się tuczy. Jednak dla gospodarki rzeczywistej wciąż trwają lata chude. Przemysł i budownictwo są pogrążone w apatii. Eksport, który powinien napędzać koniunkturę dzięki dewaluacji funta, ledwo kuśtyka. Sprzedaż detaliczna faluje. Raz się wznosi, by po chwili opaść. Prawdziwa gospodarka potrzebuje świeżej finansowej krwi. Tyle że bankowy, bajkowy słoń patrzy na rzeczywistego trupa w stanie agonalnym i go ignoruje, przygrywając sobie wesoło na fujarce. Bo zna swoją wartość i siłę.

Od czasu thatcherowskiej deregulacji finansowej w latach 1980. zarobki w bankowości poszybowały w górę w tempie niewidzianym w żadnej innej branży. I wbrew opiniom korwinistów czy neoliberalistów nie ma to nic wspólnego z wolnym rynkiem. Banki czerpią „rentę ekonomiczną” z eksploatacji oligopolistycznych karteli w usługach finansowych, a udziałowców trzymają na dystans. Astronomiczne premie prezesów są asymetrycznym zwrotem na kapitale należącym w istocie do udziałowców i drobnych ciułaczy, którzy w przeciwieństwie do prezesów ryzykują własnym, a nie cudzym majątkiem. W każdej innej branży premie takie uznano by za zwykłe złodziejstwo. Swoją siłę bankowy, bajkowy słoń czerpie z rzeczywistego strachu. Wystarczy tylko, że tupnie prawniczą nogą lub zamachnie się ratingową trąbą, a rządy drżą przed odwetem. Przynajmniej tak było w ostatnich latach.

Politycy europejscy, czując wsparcie wściekłych społeczeństw, powoli przystępują do chóru śpiewającego o regulacjach i

wyższym opodatkowaniu. Pieśń jest coraz głośniejsza i nuci ją cały europejski amfiteatr. Na szczęście falsetu Osborne'a nikt już nie chce słuchać, uznając go za potwora z opery za trzy grosze.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)